

Kazimierz Bartoszewicz.

Moje wspomnienia bandyckie.

Było to ku końcowi lata 1907 r. Pragnąc choć na parę tygodni zapomnieć o naszej ówczesnej walce stronnictw, o najświętszych zasadach, o liliowej czystości wyborach, żywiąc nadzieję, że choć na krótki czas znajdę się wśród ludzi zwyczajnych, a nie mętów stanu, ćwiczających na swych barkach losy ojczyzny — wybrałem się w odwiedziny do moich krewnych, mieszkających w Sandomiersku.

Dotychczas jeździłem w te okolice od strony Warszawy, tym razem zaś korzystałem z uprzejmości byłych c. k. kolei państwowych galicyjskich, by za umówioną opłatę dostać się do Nadbrzezia, a stamtąd modreml falami Wisły przepłynąć się do Sandomierza. Szło mi o poznanie tego starożytnego grodu, który ongi potęgą swych murów rywalizował z Krakowem, w którym Jagiełło odbierał hołd książąt mazowieckich i rozstrzygał sprawy krzyżackie, w którym Długosz tak chętnie przebywał, a który nawet z czasów porozbiorowych posiada barzo piękne wspomnienia (roku 1809).

Nie będę opisywał moich zachwytów nad szczątkami wielkości Sandomierza. Proza tu nie wystarcza, a w poetycznym aparacie zabrakło mi benzyny. Zresztą urodziłem się w tych czasach, w których na str. drukujących, jeden zaledwie mieścił ataki natchnienia. Dziś rzeczy mają się odwrotnie: bibliografia ostatniego roku wykazuje nowych prozaików niecałe dwa tuziny, a nowych poetów cztery kopy z okładem... Gdyby który z nich raczył zwrócić swe poszukujące tamaty śrenice ducha na panoramę Sandomierza od strony Galicji, na kościół św. Jakóba, najpiękniejszy w Polsce zabytek romańskiego stylu, na ratusz, dom Długosza, bramę Opatowską — mógłby śmiało uwić poetyczny wieniec ze stref kilkunastolecia.

Pe tej „wstawce“ wracam do rzeczy. Stałem w hotelu Podolakim. Sandomierz posiadał wówczas dwa hotele: jeden Polski, w którym nie było nic polskiego, a drugi Podolski, w którym nie było nic podolskiego, ale był rzeczywiście polskim. Polski był jednopiętrowy, Podolski parterowy. Na parterze mieszkać przyjemnie, ale nie zawsze i nie wszędzie. Stąd też, pomimo wrodzonej mi ołbrzymiej odwagi, której słowem nieraz dowody, walcząc z całymi hufcami „stańczyków“ i skoncentrowanych demokratów, poczułem się jakoś nieswojo, widząc, że okna mego pokoju, wzniesione na półtora metra od ziemi, wychodzą na szeroki gościniec i rodzaj plantacji. Uczucie moje łatwo zrozumieć, jeżeli się zważy, że były te czasy największego rozwoju w Królestwie bandytyzmu, a hotel wznosił się poza właściwym miastem, obok rozległego ogrodu miejskiego, w dzielnicy mało zabudowanej i zamieszkałej. Za dnia nie zastanawiałem się nad tem, ale wieczorem, powróciwszy z kolacyi, na której słyszałem opowiadania o napadach, nie mogłem się oprzeć pewnemu niepokojowi, zwłaszcza, że w całym hotelu, prócz mnie, starej gospodyni i służącego, nie było żywej duszy. W innych czasach nie zwróciłbym na te uwagi, ale w takich i pod światłem wrażenia „okropnych“ opowiadań, z przykreścią dostrzegłem, że bohaterstwo moje na ciężką wystawione zostało próbie, że się z niem coś niedobrego dzieć zaczyna... Ba! gdybym miał przy sobie choć rewolwer, byle mauzerka, lub kilka ręcznych granatów!

Albo co robić? Zaczepiłem resztek odwagi, bohaterako spać się położyłem i bohaterako zasnąłem.

Nagle po północy przebudziły mnie straszne jęki, dochodzące z gościnnicy. Zerwałem się z łóża i bohaterako skoczyłem ku oknu. Nic nie dojrzałem, ciemno było „jak wykol“. Ale jęki nie ustawały, owszem rozlegały się coraz głośniejsze, o jakieś sto, może kroków od hotelu. Żebyż to tylko jęki! Ale od czasu do czasu słychać było jakieś dzikie, okropne krzyki, spasmatyczne wrzaski. W taki sposób krzyczać i jęczeć może jedynie ktoś, kogo mordują, zarynają, żywcem kraja na kawałki i to tępy młotem.

Po chwili usłyszałem tupot nóg kilku ludzi, biegnących pod moim oknem. Nastąpiła krótka przerwa. Doszły mnie stłumione, gniewne i rozkazujące głosy, ale zaraz po nich wybuchnęła nowa seria jęków i nieludzkiego ryku. Mijały minuty za minutami, końca tej tragedii nie było. Minęło pół godziny, położenie rzeczy nie zmieniło się. Dopiero po godzinie nastąpiła cisza — i znowu pod moim

oknem usłyszałem ciężki tupot nóg, stających już jednak krokiem miarowym.

Nazajutrz pytam się służącego, co to się w nocy działo?

— E, to nic...

— Jakto nic?

— To... jest tu taka stara pijacka, co robi po nocach awantury, albo śpiewa nieprzyzwoite rzeczy, albo jęczy, krzyczy, ośtatniemi słowy pomstuje. Wczoraj zaszła w te strony, a że tu są blisko koszar, więc żołnierze zbudzili się, chcieli ją aresztować. Nie dała się, biła się z nimi, gryzła ich, szarpała...

— Ale w końcu ją aresztowali?

— Nie, sama krzyczeć przestała, bo jej już sił zabrakło...

Tak więc nie udał mi się napad bandycki, który zamierzałem w czarnych barwach drakiem przedstawić p. t.: „Strasna noc w Sandomiersku“.

Nadeszły konie. Siadam, jadę. W drodze pytam Jędrka:

— A są u was bandyci?

— E, nie, ino w trzeciej wsi napadli proboszcza, lunął bez okna i uciekli...

Przyjeżdżam. Uściski, całusy. Pokazują mi mój pokój. Odświeżam się, wracam. „Możebyś coś przekasł“, pyta gospodarz. Wchodzi jego zacna matka: „Proszę na kolację, już podana“...

I była kolacja taka, jaką można jadać było tylko w Królestwie. Nie wspaniała, ale jaka smaczna — palce lizać! Dalibóg, mało na tę stronę życia zwracam uwagi, ale obawiam się, że zostawiłbym smakoszem, gdyby mi przyszło „stołować się“ na wsi w Królestwie*). U nas baranina to baranina, a tam to sarna. U nas z wołu robią się zwykłe pieczenie, kotlety, zrazy, a tam robią się arcydzieła, noszące niesłusznie te same nazwy, bo to są co najmniej nadkotlety, metapieczenie, arcyzrazy. Tam kurczę, to nie zwyczajne kurczę, dziecię koguta i kury, ale... cały poemat. To też podzielałem w zupełności uczucia pewnego młodego agronoma, który prosto z Dublan przybywszy do Królestwa na praktykę, na zachęcające zaproszenie dziedziczki: „może pan jeszcze pozwoli kawalek?“, odpowiadał stereotypowo: „Pani Dobrodziejko, nie miałbym serca odmawiać sobie tej niebiańskiej rozkoszy“...

Po kolacyi była herbata, a przy herbacie szeroka pogawędka. Opowiadałem moją nocną przygodę w Sandomiersku. Śmiało się z niej zacne ciotczysko, śmiała się czupurna Kazia, śmiała pikantna warszawianka Felkowa, śmiały się i meskie gałęzie drzewa familijnego.

— Dobrze wam się śmiać — zauważył gospodarz — ale niestety z każdym dniem wzrasta obawa o mienie i życie. Bandytyzm przybiera zaskakujące rozmiary“...

Na ten temat potoczyła się rozmowa. Dowiedziałem się, że w „naszej okolicy“ nie jest jeszcze „tak źle“, z powodu braku ognisk fabrycznych, ale zaraza i tu się wciska, czego dowodem napad na sąsiednią plebanję. Opowiadano o popełnionych rabunkach i zbrodniach około Skarżyska, Ostrowca, Iłży. Zuchwałość bandytów jest wielka, ponieważ ludność w obawie przed ich zemstą (a mścić się umieją) nie tylko nie pomaga władzy, ale zaciera tropy tych dzikich zwierząt. Wśród szczegółów przytaczanych utkwilo mi w pamięci opowiadanie o jakimś „szlachetnym“ bandycie (zapomniałem jego nazwisko) rodzaju Rinaldo-Rinaldiniego. Grabił, mordował, a jednocześnie wymierzał sprawiedliwość, wspomagał biednych. Był do tego stopnia zuchwały, że pojawiał się na odpustach, brał udział w procesjach i pogrzebach, a obecni na nich strażnicy ziemscy, choć go znali, nie ośmielali się go aresztować. Raz dlatego, że miał za pasem cały arsenał broni, a strzelał znakomicie, następnie zaś, ponieważ obawiali się, że posiada w tłumie swoich „podkomendnych“*).

Pod wrażeniem tych opowiadań udałem się na spoczynek.

Około 2 po północy przebudziło mnie głośnie ujadanie psów. Przez szczelinę drzwi sąsiedniego pokoju, będącego sypialnią kuzynek, ujrzałem światło i dobiegły mnie stłumione trwożliwe głosy. W drugim pokoju obok coś stuknęło, a za chwilę usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi, a grzyt kincza w przedpokoju i odgłos kroków. Ktoś przebiegł szybko po kamiennym chodniku od ogrodu. Po jakiejś minucie padł strzał w oddali.

Z duszą na ramieniu zapaliłem świecę, usiadłem na łóżku i zastanawiałem się, gdzie ukryć moje ka-

*) Oczywiście autor wypowiada tutaj swoje wrażenia ówczesne. Dział prawdopodobnie i to się popsuło.

**) W miesiąc później wyczytałem w pismach warszawskich, że bandyta ten został zabity w walce z wysłanym w pogoń za nim oddziałem wojska.

piłaty (koło 50 rubli i złotą dwudziestokoronówkę) oraz cenne rodzinne kosztowności (pierścienie i zegarek). Postanowiłem zakopać je w doniczce od kwiatów, ale niestety doniczki nie było, bo wszystkie kwiaty wyniesiono na stopnie gankowe...

Próżno starałem się wpaść na drugi pomysł, równie genialny. Tymczasem psy dalej szczekały z niezachwianym temperamentem. Od strony zabudowań gospodarskich dochodził odgłos rozmowy między grubym basem a piskliwym sopranem...

Nareszcie wszystko się uciszyło. Czasami tylko który z psów warknął, zaskomlał, lub grzecznie zaszczekał, ale znać było, że czyni to nie z potrzeby, lecz z przyzwyczajenia, w poczuciu obowiązku, czy też dla odegnania trapiących go myśli.

W ginącym nastąpiła również cisza. No, jeżeli kobiety zamikły, to najlepszy dowód, że... temat zupełnie wyczerpany. Widocznie niebezpieczeństwo minęło, spłoszeni bandyci rzekli się ofensywy. Odetchnąłem, wróciłem do równowagi, sen mi skleił oczy...

Nazajutrz przy kawie nikt nie nie wspominał o wypadkach nocy. Przypuszczano zapewne, że miałem sen twardy po podróży i o niczem nie wiem — a po co gościa niepokoić? Nie wypadało mi może pytać się, ale ciekawść przemogła...

— To, widzisz — odpowiedział mi gospodarz z uśmiechem, — był cały dramat. Rozpoczął się przed miesiącem, kiedy matce mojej, zawołanej, jak wiesz, gospodyni, skradziono 8 kur z pomiędzy najpiękniejszych, będących jej chlubą przedstawicieli tego rodu. Więc czterdziestoletniej dziewczynie ze swego knochenno francymaru kazała sypiać obok kurnika. Zarządzenie wydało błogie owoce — kradzież kur ustała. Dziś w nocy kogut musiał mieć sny nieprzyjemne, bo się zbudził za wcześnie i wiedziony małżeńskim przywiązaniem, wsadził łeb do kojca. Wsadził, ale wyjąć go nie mógł. Więc się trzepotał, piał, hałasował... Przebudzona dziewczyna, jeszcze wpółsenna, nieprzytomna, zaczęła krzyczeć przeraźliwie. Akompaniowało jej ujadanie psów. Przebudzony wyszedł na ganek. Matka, która również się przebudziła, otworzyła okno i donośnym głosem zawołała na nocnego stróża. Ten wyjątkowo nie spał, puścił się więc, skąd go krzyk dochodził, a dla postrachu wystrzelił z pistoletu. Zbesztalem stróża i dziewczynę... Oto i wszystko.

Dla zaspokojenia ciekawości czytelników o dalszy los osób działających podaję, że kogut po wyjęciu mu łba z kojca odzyskał swobodę ruchów, dziewczynę przeniesiono do innego departamentu, a stróż już odtąd nigdy nie strzelał, nawet wtedy, kiedy złodzieje dwa konie ze stajni wyprowadzili.



TYLKO!

DOSTAWCA KLINIK UNIW. JAGIELLOŃSK.
SZPITALI KRAJOWYCH I WOJSKOWYCH.

STANISŁAW BARAN

S.P. Z.O.O.

! KRAKÓW SŁAWKOWSKA 6!